



BIBLIOTHEQUE DE LA BIENNE MUSEE

SYRENA

TYGODNIK WOLNYCH POLAKOW — HEBDOMAIRE DES POLONAIS LIBRES

ROK XI — Nr 43 (498)

26 PAŹDZIERNIKA — 26 OCTOBRE 1957

CENA 30 fr. PRIX 30 fr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
20, rue Legendre, 20 — PARIS (17)
Métro: Villiers Tel.: WAG 00-45

MARIAN CZARNECKI

SOLIDARNOŚĆ ZACHODU

JEDNYM z istotnych celów dyplomacji sowieckiej było i jest wbieć kłosa między Stany Zjednoczone i ich zachodnio-europejskich przyjaciół z jednej strony, a zapobieganie tworzenia wspólnoty europejskiej z drugiej.
Dziś jeszcze świat żyje w cieniu dwóch kolosów — amerykańskiego i sowieckiego. Ale obok nich budzą się w różnych obszarach świata poczucia pewnych solidarności grupowych, znacznie przekraczających granice poszczególnych państw. Kapitałnym i rewelacyjnym, a w istocie rzeczy tak naturalnym przykładem tego procesu była gigantyczna Konferencja Bandoeng z kwietnia 1955 r., grupująca 29 państw afro-azjatyckich i reprezentująca ok. półtora miliarda ludzi (65 proc. ludzkości). Oczywiście, nim ten olbrzymi i zróżnicowany blok przybierze pewne formy organizacyjne, dużo czasu upłynie, ale niemiłej jego niepokojące widmo zarysowało się na horyzoncie polityki światowej.

W Europie zachodniej na dużo mniejszą skalę, jeżeli chodzi o ilość ludności i obszar, narodziła się myśl tworzenia pewnej, daleko posuniętej wspólnoty, której pierwsze etapy realizują się na naszych oczach. Gdy u założenia Konferencji Bandoeng było dużo demagogii na tle antykolonializmu, szczególnie skorygowanej oskarżeniem Związku sowieckiego o politykę kolonialną, o tyle u podłoża integracji Europy zachodniej leży poczucie słabości. Dziś tzw. „mocarstwa” europejskie, wciąż między blok sowiecki i Amerykę, są właściwie ubogimi krewnymi wobec dwóch kolosów. Tymczasem ta sama Europa, zczemtowana w jeden blok, będzie mogła pokusić się, bo jej potencjał na to zezwoli, o zajęcie pozycji na równi z każdą z dwóch potęg.

Kreml doskonale zdaje sobie z tego sprawę i nie ludzi się, że ta nowa Europa będzie nowym jego przeciwnikiem i siłą przyciągającą narody „środkowo-europejskie, dziś ujarzmione. Układ sił na szachownicy politycznej może zmienić się w zasadniczy sposób.
Oczywiście pilnie śledzą ten proces i robią wszystko, by go przyspieszyć, Stany Zjednoczone, gdyż nie mają wątpliwości, że zjednoczona Europa zachodnia będzie ich naturalnym sprzymierzeńcem.

W takiej sytuacji, Rosji sowieckiej pozostaje polityka poróżnienia Europy z Ameryką, doprowadzenie do wycofania się Stanów Zjednoczonych poza Ocean, a następnie — i tu dotykamy istotnego celu dyplomacji Kremła — ułożenie się nie z tą Europą, ale z Waszyngtonem.
Rosja marzy o nowej Super-Jaicie, o

podziale świata na dwie strefy wpływów: sowiecką i amerykańską. Wszystkie jej wysiłki idą w kierunku doprowadzenia do dialogu z Waszyngtonem — bez udziału kogokolwiek innego.

Kreml szanuje siłę i w ostocie ani W. Brytanii, ani tym bardziej Francji nie uważa za równorzędnego partnera. Konferencja „Wielkiej Czwórki” w Genewie w 1955 roku była właściwie dialogiem sowiecko-amerykańskim; w pewnej chwili były obawy, czy prez. Eisenhower, który na tej konferencji po raz pierwszy zetknął się z wielką

polityką, nie ulegnie pokusie kontynuowania tego dialogu.

Dziś, na tle napięcia, które nagle narosło wokół Turcji i Syrii, znowu wiadać, że istotnym celem Sowietów w tej grze jest doprowadzenie do bezpośrednich rozmów z Waszyngtonem. Reakcja amerykańska tym razem jest jednak szybka i niedwuznaczna: zaciśnięcie węzłów ze swoim brytyjskim partnerem.

Sojusz brytyjsko-amerykański był podstawowym elementem wygrania ostatniej wojny. Toteż nagle odnawianie go w chwili, gdy Chruszczow, jesz-

cze pijany sukcesem „sputnika”, powraca do brutalnego języka okresu zimnej wojny — ma wielką wymowę. Stany Zjednoczone dają wyraźnie i bez najmniejszego cienia wątpliwości do zrozumienia, że ich polityka nie zejdzie z platformy solidarności świata zachodniego. Jeżeli chwilowa słabość Francji opóźnia budowę zachodniej Europy, to Waszyngton manifestuje, że istnieje również inna wspólnota — anglo-saska — która może odegrać równie poważną rolę w przyszłości, jak odegrała w niedalekiej przeszłości.

Wymowa tego posunięcia wydaje się być jasna: Stany Zjednoczone nie pójdą na awanturę polityczną, która postawiłaby je same twarzą w twarz z Rosją.

A Rosja tak o tym marzy...

Marian Czarnecki

WITOLD NOWOSAD

PERSPEKTYWY PLANETARNE

Od dnia 5 października 1957 r. zaczął się niewątpliwie nowy rozdział w dziejach ludzkości; przyrząd wytworzony geniuszem ludzkiego mózgu i ludzkich rąk wydostał się poza najbliższą atmosferę ziemską na wysokość kilkuset kilometrów w przestrzeń międzyplanetarną i stał się rodzajem miniaturowego ciała niebieskiego, krążącego wokół naszej Matki — Ziemi.

Jakie będą dalsze losy „sztucznego księżyca”, ile jeszcze jemu podobnych wypuszczą w przestrzeń Rosjanie lub Amerykanie w najbliższych miesiącach — to kwestie drugorzędne. Zostawiając na boku te polityczne sprawy — ważne dla nas wszystkich, ale jednak nie najważniejsze — trzeba stwierdzić, że ten niezwykły skok człowieka w przestrzeń, dokonany w ramach „roku geofizycznego” czyli wspólnej pracy całej ludzkości, wszystkich narodów, jest zjawiskiem niezwykle imponującym, napełniającym dumą każdego, kto wierzy w godność i rozum człowieka. Jedno z najstarszych i najtrudniejszych marzeń ludzkiej wyobraźni staje się z wolna rzeczywistością w naszych oczach. Przychochoda na myśl wspaniałe słowa Mickiewicza z „Dziadów”: „Człowieku gdybyś wiedział, jaka twoja władza” — wyrzute po francusku na cokole pomnika poety na placu Alma w Paryżu. Albo inne powiedzenie filozofów, iż „człowiek jest prochem, ale prochem rozumnym”.

Człowiekiem, który dał podstawy całości nowoczesnej astronomii, a także „astronautyce” czyli „nauce o podróży międzyplanetarnych” jest astronom polski, najstarszy Polak w naszych dziejach: Mikołaj Kopernik. Wprawdzie astronomia jest gałęzią wiedzy, którą można by nazwać „dzieckiem XX stulecia”, a rozwinie się ona

naprawdę dopiero w drugiej połowie naszego wieku — to jednak bez genialnej teorii Kopernika i jego genialnego wzroku patrzącego w przyszłość ani nowoczesna fizyka ani astronomia nie osiągnęłyby współczesnych rezultatów. Tak skromny w ciągu życia kanonik fromborskiego obserwatorium — pustelni postawił jako pierwszy — ten żmudny krok, który doprowadził dzisiaj do podróży „sputnika” dokoła Ziemi.

A innym człowiekiem, który z pasją badawczą uczonemu łączył genialną wyobraźnię, talent i humor — był wielki pisarz francuski Jules Verne z 19-tego stulecia. Na powieściach Verne’a, niegdys „fantastycznych”, a dzisiaj jakże realnych — kształciły swą wyobraźnię, pasję poznawania czegoś niewiadomego i tajemniczego — całe pokolenie dzieci we wszystkich krajach, rasach i kontynentach.

Dokończenie na str. 3-giej

Ostrzeżenie na czasie

MANIFESTACJE 3 i 4 października — jak również szereg innych objawów powszechnego niezadowolenia — nie powinny być dla komunistycznej władzy w Warszawie stanowiącymi niespodzianki. O tym, do czego prowadzi stosowane przez nie metody, zostały one wyraźnie uprzedzone. Od dawna i bardzo szczegółowo.

Przeczytajmy: „Państwo istnieje nie po to, by utrzymać człowieka w strachu; wręcz na odwrót, ma go ono uwolnić od strachu, ma mu pozwolić na zachowanie — bez szkody dla innych — naturalnego prawa do istnienia i działania. Celem Państwa nie jest uczyńnię z ludzi, istot rozumnych — dzikie zwierzęta lub automaty, lecz sprawić, by znikły nienawiść, gniew i chytrość, by ludzie znosili siebie wzajemnie bez niezyczliwości. Celem ostatcznym Państwa jest więc wolność.
„Trzeba przyznać, że tę wolność można zdnąć i utrzymać ludzi w takim stopniu zależności, że nie odważą się już oni powiedzieć ani słowa. Niemniej, nie uzyska się nigdy tego, by nie mieli żadnych innych my-

sli, niż te, jakie są nakazane. Nieuniknienie, rzeczywiste ich poglądy będą w sprzeczności z tym, co będą mówili; zniknie dobra wola — pierwsza podpora Państwa. Dzięki zachęcie, jaką otrzyma służalczość i fałsz — nastąpi panowanie chamsztwa i korupcji. Nie uzyska się nigdy, by wszyscy wciąż powtarzali wyczoną lekcję. Wręcz przeciwnie, im więcej się zrobi wysiłków aby odebrać ludziom wolność słowa, z tym większą zacietochą będą oni się temu opierali. Nie ludzie chwili, nie pochlebcy czy pozabawieni wartości moralnych, dla których przeczytem marzeń są pieniądze i pełny brzuch, lecz ci, którzy mają dobrą edukację, odznaczają się czystością obyczajów i cnotą — stoją na wyższym poziomie. Nic nie jest dla ludzi bardziej nieznosne, niż to, że poglądy, które oni uważają za prawdziwe, nazywane są zbrodniczymi, niż to, że ich szlachetne uczucia względem Boga i bliźnich są traktowane jako przestępstwo. Tracą oni wtedy szacunek dla obowiązujących w Państwie praw, przeciwstawiają się śmiało rządzącym, uważają za rzecz chwalebna wzniecenie powstania.
„Prawa, kępające wolność poglądów, uderzają nie w przestępców, lecz w ludzi o niezależnym duchu, skierowane one są nie przeciw złym, a przeciw najbardziej ucziwym.
„Utrzymywanie takich praw w mocy naraża Państwo na wielkie niebezpieczeństwo”.
Napisał Benedykt Spinoza, jeden z najgłębszych myślicieli wszystkich czasów, w roku 1670.
Pasuje do tego, co się dzieje w 1957 roku w Warszawie, jak ulał.

W. J.

JERZY ROJAN

„Siał niewiarę i defetyzm”

Berlin, w październiku JUŻ dzisiaj można zaryzykować twierdzenie, że sprawa zespołu tygodnika „Po prostu” znajduje się na poczesnym miejscu w historii walk na rodzie polskiego o wolność i niepodległość. Odwaga, jaką wykazali członkowie tego zespołu, odwaga cywilna — budzi uznanie i szacunek. Zwłaszcza że Polacy zawsze wykazywali znaćnie więcej brawury na polach bitewnych („Hej, kto Polak, na bagnety!”), a znacznie mniej odwagi cywilnej w życiu codziennym. Zespół „Po prostu” dla wielu rodaków w Kraju i na emigracji będzie przykładem tej stałej, systematycznej, wytrwałej walki „cywilnej” z niewolnictwem wprowadzanym przez komunizm, walki prowadzonej w jakże trudnych i niebezpiecznych warunkach.

Ala sprawa zamknięcia tygodnika „Po prostu” będzie równocześnie jednym z najbardziej oczywistych dowodów zupełnego bankructwa komunizmu w Polsce. Nic więc dziwnego, że prasa komunistyczna usiłuje przedstawić ten zespół jako „skrajną reakcję”, jako ludzi cynicznych, wzywających z wszelkich ideatów. Wprawdzie dotąd jeszcze nie powtórzyła za prasą sowiecką i moskiewskim radiem, że ci młodzi dziennikarze byli „agentami w służbie amerykańskiej”, ale niewątpliwie dojdzie i do tego.

Ostatnio warszawska „Trybuna Ludu” (z 11 października 1957 r.) poświęca tej sprawie prawie całą stronę swego olbrzymiego formatu. Po wylczeniu kolejnych „herazji” tego

zespołu redakcyjnego główny organ prasowy kompartii omawia ostatni numer „Po prostu”, numer, który już nie ujrzał światła dziennego:

„Czym okazał się ten numer „Po prostu”? Numer ten został w całości zakwestionowany przez Urząd Kontroli Prasy. Konfiskata była w pełni uzasadniona, gdyż cały ten numer wychodził z pozycji wrogości socjalizmowi i stanowił niejako syntezę wszystkich ujemnych i szko dliwych tendencji, jakie występowały w piśmie w okresie poprzednim. Same tytuły artykułów mówią za siebie: „Strachy i wędzidła”, „Apattia czyli poszukiwanie celu”, „Błędne koto”, „Zawracanie Wisły kijem”, „Cena niepokojów”, „Dziady warszawskie” i tp.”.

Nie znamy oczywiście, treści tych artykułów, co najwyżej możemy się tylko domyślać. „Trybuna Ludu” zresztą trochę nam w tym pomaga. Cytujemy:

„Autorami dwóch podstawowych pozycji politycznych są ludzie spoza zespołu „Po prostu”: P. Jasienica, znany ostatnio ze swych artykułów biorących w obronę politykę Becka, oraz reakcyjny ekonomista S. Kurowski”.

Nawiasem dodajmy, że kilka miesięcy temu Paweł Jasienica był mocno krytykowany przez „krakowski „Tygodnik Powszechny”. Zaiste dziwny zbieg okoliczności. Ala tę stronę zagadnienia pozostawmy na razie na uboczu. Cytujemy dalej „Trybunę Ludu”:

„Gwoździem politycznym nume-

ru miał być właśnie artykuł S. Kurowskiego. Autor usiłuje przekreślić w tym artykule wszystko, co zostało stworzone ciężkim wysiłkiem narodu, cały dorobek władzy ludowej. Odbudowę i rozbudowę gospodarki narodowej, uprzemysłowanie Polski — Kurowski przekreśla jednym zdaniem jako „jaskrawa”.

Dokończenie na str. 2-giej

Sukces dziennikarzy emigracyjnych

(OD WŁASNEGO KORESPONDENTA „SYRENY”)

Wiedeń, październik

W OSTATNICH dniach września i w pierwszych październiku obradowało w stolicy Austrii ponad 500 dziennikarzy, którzy przybyli do Wiednia z wszystkich krajów świata na swój 5-ty z rzędu międzynarodowy kongres prasy katolickiej. Dwa poprzednie powojenne kongresy, zwoływane w odstępach 3-letnich, odbyły się w Rzymie i w Paryżu.

Hasło tegorocznych obrad stanowiło pytanie: „Jaki jest cel prasy katolickiej we współczesnym świecie?” Na pytanie to dali szereg jasnych odpowiedzi główni mówcy kongresowi: lord angielski Pakinham, minister francuski Pfimlin, profesor z Berlina Doviśat, dyrektor gazety bolońskiej Manxini, przedstawiciel prasy hiszpańskiej

de Luis o Dias i nowowyrbrany sekretarz generalny międzynarodowej Unii Dziennikarzy Katolickich — były redaktor paryskiego dziennika „La Croix” — ojciec Gabel.

Osobne zebrania poświęcono sprawom dziennikarskim, wydawniczym oraz zagadnieniom, związanym z prowadzeniem katolickich agencji prasowych.

W poprzednich dwóch kongresach brali udział dziennikarze katolicy, żyjący na uchodźstwie: Polacy, Ukraińcy, Litwini, Słowacy, Rumunii i Węgrzy. Grupa ta znalazła się także we Wiedniu. Z naszych dziennikarzy przybyli do Austrii: reprezentanci paryskiej „Polski Wiernej” — księża Florian Kaszubowski i Wacław Tokarek, ksiądz kanonik Juliusz Janusz z Mann-

Dokończenie na str. 2-giej

12 PAŹDZIERNIKA??!

SYTUACJA polityczna w Kraju pogarsza się z dnia na dzień. Bezpieka stopniowo przejmują urzędy celne i dowództwo nad milicją. Ze źródeł absolutnie wiarygodnych wiemy, że już w czasie ostatnich wypadków w Warszawie milicją dowodzili oficerowie Bezpieki. Stąd właśnie ta brutalność interwencji milicji, stąd ogromna liczba aresztowań. Aresztowanych przy tym bito do utraty przytomności. Pod razami oprawców wielu młodych ludzi wycięnięto ducha. Prasa komunistyczna nie pisnęła, oczywiście, na ten temat ani słowa. Wiśść jednak lotem błyskawicy rozeszła się wśród ludności stolicy, podnosząc temperaturę nastrojów do stanu wrzenia.

Ala wybuch nie nastąpił. Doj rzalność polityczna narodu i tym razem wzięła na szczęście górę.

Naród zresztą w swej walce z komunistyczną oprzeją ucieka się nie tylko do wystąpień ulicznych i publicznych manifestacji, ale także do bojkotu reżymowych przedsięwzięć. Bezpowrotnie minęły te czasy, gdy Bezpieka spędzała tłumy i kazała postuszenie skandować „Stalin, Stalin, Bie-rut, Bie-rut, pokój, pokój”. Toteż mimo usiłowań reżimu nadania rozgłosu, dzień 12 października przeszedł w Polsce zupełnie bez echa. Oddane w Warszawie 24 salwy artyleryjskie spowodowały co najwyżej pogardliwe wzruszenie ramion.

Cóż to był za dzień — może zapytać zaciekawiony czytelnik emigracyjny. Odpowiemy krótko, po żołniersku. Był to dzień reżymowego cynizmu i zakłamania, dzień bezcelnych drwin w wysiłku polskiego żołnierza. W rozkazie tak zw. ministra obrony narodowej czytamy, że w tym dniu „pod białoruskim miaszkiem Lenino 1. Dywizja Piechoty im. T. Kościuszki wykonała zadania dnia i odniosła pierwsze zwycięstwo nad hitlerowcami”. Było to w 1943 roku.

Więc od czasu kampanii wrześniowej tylko pod Lenino żołnierze polski zetknął się z nieprzyjacielem i „wykonał zadania dnia”? A gdzie Narwik? Gdzie walki polskich dywizji, które już w czerwcu 1940 roku krwawily się na ziemi francuskiej? Gdzie walka powietrzna o W. Brytanię? Gdzie Tobruk, Falaise i Chambois? Gdzie niezliczone walki Polskiej Marynarki Wojennej? A przede wszystkim gdzie ta wspaniała, jedyna tego rodzaju w dziejach naszego narodu epopeja 2 Korpusu generała Władysława Andersa?

Oto dlaczego Warszawa i cała Polska zbojkotowały reżymową mistyfikację 12 października, czyli tak zw. „dzień wojska polskiego”. Zbojkotowały całkowicie. Bez reszty. Na totalne komunistyczne kłamstwo odpowiedziały totalnym bojkotem. Nawet prasa reżymowa musiała się do tego przyznać, podając, że mieszkanki stolicy „zbraли się licznie”. Wiemy, co to w ustach komunistycznych propagandystów znaczy. A jak naoczni świadkowie tej inscenizacji stwierdzają, na tym „świecie” — poza dygnitarzami reżymu, poza delegacją sowiecką i oddziałami wojska — nie było absolutnie nikogo.

Narodowym bowiem Świętem Żołnierza Polskiego jest i pozostanie dzień 15 sierpnia — dzień epokowego zwycięstwa polskiego oręza nad bolszewikami w roku 1920. A do tego dnia dojdzie niechybnie jeszcze jeden dzień. Najstarszy dzień chwaly polskiego oręza w czasie drugiej wojny światowej — dzień 18 maja, dzień Monte Cassino.

Już dzisiaj piosenka „Czerwone maki na Monte Cassino” jest najbardziej popularną piosenką w całym Kraju. Piosenką śpiewaną wszędzie, przy każdej okoliczności, nawet podczas uroczystości rodzinnych. Już dzisiaj książka „Monte Cassino”, jakże okrojona przez cenzurę komunistyczną, należy do „bestsellerów”: z krakowskiego „Tygodnika Powszechnego” (z dnia 13 października b. r.) dowiadujemy się, że warszawska „Księżarza Nowości” z otrzymanych 600 egzemplarzy tej książki sprzedała w ciągu 3 godzin wszystko.

I dzisiaj, bardziej niż kiedykolwiek, naród zwraca oczu ku Zachodowi. Imię zwycięcy spod Monte Cassino nie schodzi z ust tęskniących do wolności Polaków. Wbrew niewybrednej i kłamliwej propagandzie komunistycznej wzrasta w narodzie wiara w demokrację zachodnią, a zwłaszcza w Stany Zjednoczone, wzrasta wiara w polską emigrację i jej przywódcę gen. Andersa. Wszelkie usiłowania reżymu zniszczenia tej wiary — nie odniosą najmniejszego skutku.

Stanisław PACZYŃSKI

F 2156

Uciśniony Tito

WYRAZISTY obrót polityki Jugosławii, towarzyszący kilkudniowej wizycie samego marszałka Zukowa, za wiera w sobie niejednym moment dla nas pouczający. Dla jasności wyrazu podkreślić od razu należy, że Zukow przybył na krążownik, zwiędzając w ten sposób mniej dotąd sobie znane wybrzeża Adryjatyki. Stało się jednak, że cały ten krążownik potraktowany został przez Tito jako raczej banalny środek wycieczkowy, i po oficjalne przyjęcie przez jugosłowiańskie czynniki wojskowe marszałek musiał się fatygować aż do Belgradu, gdzie go witano z dala od morskich powiewów.

Mogło to zawierać dla gościa pewne rozczarowanie. Od czasu, gdy kilka miesięcy temu Budapeszt został włączony bezpośrednio do szeroko-tworowej sieci kolejowej sowieckiej, przedłużeń tej sieci w kierunku Adryjatyki dla Zuko- jest na pewno bardzo istotne.

Na Adryjatyku posiada już wojenna marynarka moskiewska bazę w Albanii, którą pieczołowicie rozbudowuje. Jest to jednak od strony lądu baza izolowana, bo od Węgier, Rumunii i Bułgarii dzieli ją ziemia Serbii. Pewne ułatwienia komunikacyjne mogłyby przynieść projektowane niedawno przez Rumunię porozumienie bałkańskie z udziałem Jugosławii, Grecji i Turcji. Zbyt szerokie zakreślenie tego porozumienia ułatwiło Tito wymaganie się z kłopotliwej propozycji. Przelamanie zasadniczej przesłanki jego polityki, polegającej na odmowie wypowiedzenia się po stronie bloku tworzonych przez Wschód lub Zachód, pozostawać musi nadal niezatwierdzonym postulatem, narówni z dążeniem Sowieców do oparcia się na Adryjatyku.

Toteż obecne rokowania pomiędzy Zukowem, a dyktatorem Jugosławii okazały się niełatwe. Obserwatorzy zanotowali, że trwały one całą dobę dłużej niż przewidywano, i marszałek pofrunął do Albanii, zamiast popularyzować swoją osobę specjalnym pogiciem. Tito zmuszony został do ofiarowania politycznej kompensaty, narażając się bez entuzjasmu na szawk w stosunkach z Niemcami zachodnimi. Jego dotychczasowe weale dobre stosunki z Bonn były prawdopodobnie tolerowane przez Kremł — jako pozycja rezerwowa. W dobie po cisków międzykontynentalnych i „pochodu na południe” zostały one ponoć uznane za zbędne. Jeśli Tito nie chce stanąć w zakresie wojskowym, wyraźnie po stronie Wschodu, to musi przynajmniej solidaryzować się z nim politycznie. Wypowiedzi dyktatora na temat naszej granicy zachodniej były już po temu wstępna przysięga. Obecnie zażądano od niego posunięcia o krok dalej — przez uznanie wschodnio-niemieckiej „demokracji ludowej”. Pod tym względem rząd Jugosławii stanowią wśród komunistów jedyny istniejący wyjątek.

W dniu 16 października komunikat oficjalny w Belgradzie stwierdził, że istnienie dwóch państw niemieckich stworzyło sytuację, dzięki której wszelkie usiłowania rozwiązywania sprawy niemieckiej od zewnętrznych wytworów by musiało poważnie zaburzenia wewnątrz Niemiec i w płaszczyźnie międzynarodowej. Po tym gotosłownym stwierdzeniu i nieumierającym ataku na politykę mocarstw zachodnich, komunikat wyraża pogląd, że uznanie przez państwa trójce obu istniejących obok siebie państw niemieckich i nawiązanie z nimi normalnych stosunków dyplomatycznych, może być tylko korzystne dla sprawy zjednoczenia Niemiec. Nie pytając więc o nie swego dotychczasowego kontrahenta t. zn. rząd w Bonn, Jugosławia ogłasza formalne uznanie niemieckiej Republiki demokratycznej.

Na to posunięcie Tito rząd kancelarza Adenauera odpowiedział w kilka dni później zerwaniem stosunków dyplomatycznych z Jugosławią. Minister von Brentano stwierdził po prostu, że niemożliwym byłby jakkolwiek kompromis prawny w obliczu decyzji sprzeczej z tezą, że Niemcy federalnie są jedynym autentycznym przedstawicielstwem narodu niemieckiego. Mimo, że teza ta była z dawna już znana dyktatorowi Jugosławii, który zdawał się ją nawet podzielać, obecnie, wobec przebiegu sprawy, zapanoła w Belgradzie konsternacja. Polały się nacechowane oburzeniem pół-

oficjalne skargi, mające wykaazać Kremlovi, jak znacznie ofiary ponosi rząd Tito, i zarazem złagodzić nieco reakcje St. Zjednoczonych, o których wiadomo, że podzielają całkowicie stanowisko Adenauera.

Ze ta konsternacja w Belgradzie nie może być poczytywana za sukces Kremla, jest dosyć jasnym dla każdego, kto uważa Tito za obciążenie, a nie za filar Zachodu. Wolno się tużdzić, że trzeźwa ocena, dyktowana przez zdrowy rozsądek, powoli się u-powszechnia i skłoni dyktatora Jugosławii do bicia z kolei pokonów na Zachód, a nie na Wschód.

Jednocześnie Sowieci uczynili krzyk wielki, z powodu rzekomej groźby wojennego pożaru w Syrii. Głównymi podpalaczami mają być St. Zjednoczone i Turcja. Piszący te słowa, miał możliwość rozmowy niedawno z Jordani-czykiem. „Mogę pana zapewnić”, powiedział ten przedstawiciel Bliskiego Wschodu, „że wszystkie narody arabskie bez wyjątku pragną jedynie spokoju i pokoju. Obawiamy się tylko wielkich mocarstw, działających we własnym interesie”.

Na alarm ze strony Moskwy zareagowano najślusniej. Skwapliwie, jak wypada na pożar, uruchomiono potoki wymowy Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych. Poleją się one już w dniach najbliższych wraz z domieszką propagandowej oliwy ze strony Sowie-
 Świat polityczny kroczy naprzód. Coraz to przywdziewając jakąś groteskową maskę.
 W. J. G.

«Siał niewiarę i defetyzm»

Dokończenie ze str. 1-ej

we bankructwo”. Nowej idei zaś brak, gdyż „z powodów zewnętrznych, jak i wewnętrznych — nie mamy pola swobodnego wyboru”; w Polsce — stwierdza — nie można wysunąć celów posiadających „minimum realności”. Ogróme-mu wysiłkowi, jakiego dokonało w ciągu ostatniego roku państwo dla podniesienia realnych zarobków robotników i pracowników — Kuro-wski przeciwstawia nierasobliwe kpiny. „A robotnik? — pyta. — Cóż się zmienia w jego sytuacji, jeśli przekroczy normę o 15 czy 20 proc. i zarobi 200 czy 300 zł. wię-ciej?”. „Rozprawisz się” w ten

sposób z perspektywami gospodar-czymi — Kurowski pyta: „Więc może w dziedzinie politycznej sy-tuacja jest lepsza?” — i odpowia-da, że wszystkie idee praworzad-ności także rozbiły się o rzeczywistość, że „nie było warunków by postawić je jako cele przed społeczeństwem...”.

Cynizm i zakłamanie komunistycz-nego piśmiđa biją tutaj naprawdę wszelkie rekordy. Więc to w imię su-werenności, demokracji i praworzad-ności zamknięto ludziom usta? Więc w imię suwerenności, demokracji i praworzadności zniszczono tygodnik, o którym ktoś kiedyś powiedział, że na olbrzymich przestrzeniach od Ła-

by do Władystoku był najbardziej europejskim piśmiem? „Trybuna Lu-du” nazywa Kurowskiego „reakcyj-nym ekonomistą”. Pastwi się nad nim zwłaszcza za następującą wy-powiedź:

„...okazało się, że w Polsce 1957 r. nie ma warunków ani na sformu-lowanie wielkich idei gospodarczych, ani do realizowania ogólnonarodowych idei politycznych, ani wreszcie jednostkowych celów gospodarczych, celów pracy organicznej nad podnie-sieniem stopy życiowej”.

Tuba bezbożnictwa, niewolnictwa i tyranii komunistycznej, tuba wstecz-nictwa gospodarczego, społecznego, kulturalnego i politycznego, organ pra-sowy imperializmu sowieckiego, reda-gowany w języku polskim w War-szawie — tak oto kończy swoje gwał-towne ataki na człowieka, który od-ważał się powiedzieć prawdę:

„Niewiele znajdziemy pism reak-cyjnej emigracji, czy też wydawa-nych w krajach kapitalistycznych, które zdobyłyby się na bardziej osz-czerzy i złośliwy opis Polski dzisiejszej i jej perspektyw, niż ów ar-tykuł zatwierdzony do druku przez redakcję „Po prostu”.

Z kolei „Trybuna Ludu” przechodzi do reportażu Bratkowskiej pt. „Stra-chy i wędzida”. Jakże wymowny jest ten tytuł! Mówi w nim autorka — powtarzamy za „Trybuną Ludu” — o beznadziejnej matni życiowej i społecznej, o szarżystych, nudzie, stepie-niu, biedzie i strachu. O tym strachu, który paraliżuje wszelką inicjatywę. I kończy wnioskiem następującym: „...co warto jest milionowe społeczeń-stwo, składające się z nic nie znaczą-cych jednostek. Nie zaciska się pięści, której palce są sparaliżowane... Strach paraliżuje inicjatywę i aktywność ludzką”.

Nie możemy się zgodzić z wnioskiem autorki, choć rozumiemy inten-cję. Mamy bowiem przykłady z nie-dawnej przeszłości, przykłady świad-czące o tym, że często pięści się zaciskała nawet wówczas, gdy strach pa-raliżuje palce. Poznań, Warszawa, Wrocław, Łódź i sam zespół „Po pro-stu” — to tego najlepszym dowodem.

Wreszcie „Trybuna Ludu” zabiera się do innych autorów, których artykuły miały się ukazać w tym ostat-nim — skonfiskowanym — numerze „Po prostu”:

„Jasienica w artykule „Cena nie-pokoju” rozwodzi się nad upadkiem i rozkładem społeczeństwa polskie-go i próbuje sugerować, że kurs październikowy partii jest nieustabilizowany, że jest nieustannie zagrożony, że Październik — to przewi-zorium nie rokujące perspektywy. Inną „ideologiczną” pozycją nume-ru jest artykuł Kossaka i Turkiego „Władza i społeczeństwo”, w który-m autorzy wracają do wielokrotnie głoszonych przez „Po prostu” teorii przepisaných z księżek współ-czesnych, burżuazyjnych socjolo-gów. Dla autorów nie istnieją kry-teria klas społecznych, walki klas, roli partii klasy robotniczej. W krajach socjalistycznych mamy rzeko-mo rządy „klik, mafii i koterii”. Społeczeństwo nasze, według nich, to bezwolna, bezkształtna masa, rządzona przez biurokrację, która pos-luguje się przynusem, „aż do maso-owego terroru” w celach „industrializacji osiąganę kosztom pauperyzacji mas”. Naginając beczceremo-nialnie fakty do tych zapożyczo-nych od wrogów socjalizmu schemat-ów — autorzy odchodzą równie daleko od prawdy, jak od zasad marksizmu — przyjmując na siebie rolę burżuazyjnych propagandy-stów”.

A oto wnioski końcowe głósnej tu-by zamordyzmu:

„Ów numer „Po prostu” całą swą treścią, od pierwszej do ostatniej strony był skierowany przeciwko polityce partii, przeciwko socjaliz-mowi, siejąc zwątpienie i apatię, niewiarę i defetyzm... Postawa „Po prostu” dowiodła, że wyzerpane zo-stały możliwości redukcji zespołu i wychowawczego oddziaływania partii na jego członków...”.

Trudno o bardziej szczerze przyzna-nie się do bankructwa. W swoim cza-sie „Po prostu” pisało:

„Ruch październikowy skierowany był przeciw wszechwładzy aparatu biurokratycznego w Polsce i rozmaity-mi drogami dążył do utraćenia tego aparatu. Ruch ten w sytuacji re-wolucyjnej był na pewno przejawem walki klasowej mas ludowych przeciw tworzącej się nowej grupie społecznej, grupie „administratorów” — elicie rządzącej krajem”.

W innym numerze tego tygodnika czytaliśmy:

„Czy nie nadszedł czas, by zdrzugo-tać ten monstrualny twór?”
 Niestety, ten czas jeszcze nie nad-szedł. Ale jesteśmy przekonani, że nadejdzie. Nadejdzie niechybnie. Mu-si nadejść. A wówczas zostanie ukara-ne zbrodnie komunistyczne. Wszystkie zbrodnie.

W swych „Wspomnieniach z domu umarłych” Dostojewski powiedział: „Każdy przyzna, że są zbrodnie, które zawsze i wszędzie, wedle wszystkich możliwych kodeksów od początku świata uchodzą za zbrodnie bezsporne i będą za takie uchodzyć, dopóki człowiek pozostanie człowiekiem”.

Do takich właśnie zbrodni należą zbrodnie komunizmu.

Jerzy ROJAN

MUSIELIŚMY ULEGAĆ SOWIETOM

OBECCNY system komunistyczny w Polsce, potwierdza wiele osób, które w ostatnich miesiącach odwiedziły Polskę, jest bez porównania lepszy od okresu berutołowskiego. Zresztą — jak opowiadali im Polacy w Kraju — jest to sprawa, której nie należy zbyt nie upraszczać. W pierwszych bo-wiem latach powojennych, a zwłaszcza od połowy 1946 r., można było w Polsce żyć i pracować względnie swobodnie, jeżeli nie brało się aktywnego udziału w wystąpieniach politycznych przeciw reżymowi. Wśród in-teligencji polskiej panował wówczas nastrój niesłychanego poświęcenia dla spraw państwa i narodu. Musieliśmy w wielu wypadkach ulegać So-

wietom, gdyż inaczej wywieźliby nam całą inteligencję i zniszczyli ją tak samo, jak to zrobili Niemcy. Nie ulega również wątpliwości, że zdewasto-wały nam bardziej kraj, niż to uczyniły.

Trzeba było więc „przymykać oczy” na obrazę i ból narodowy i pracować nad odbudową kraju. Sytuacja ta zmieniła się nagle po przybyciu do Polski marszałka Rokossowskiego. Od razu wznowiono ponury okres pierw-szych miesięcy polskiej historii powojennej. Zaczęły się bowiem okrutne i ohydne praktyki UB, które w latach 1945-47 stosowano wobec przywódców AK i Ruchu Podziemnego, lub wobec osób zaangażowanych wówczas w walce politycznej przeciw komunistom. Jak wiadomo, aresztowano wówczas, pod byle pretekstem, członków Polskie-go Stronnictwa Ludowego. A choć licza ba aresztowanych przekroczyła już przed wyborami 1947 r. grubo ponad sto tysięcy, wielu ludzi w kraju mogło względnie spokojnie pracować. Po przybyciu Rokossowskiego przesłado-wania reżymu objęły całą Polskę, obję-ły wszystkich.

Dziś jest znacznie lepiej, ale tylko pod względem swobody osobistej. W i-stocie zaś zmieniło się mało. Zwolnie-ni ministrowie czy wiceministrowie otrzymali po utracie jednego stanowiska inne. W dalszym ciągu z ministerstw i instytucji kierowniczych nadchozą niekiedy instrukcje, od których wło-sy stają dęba na głowie. Ignorancja na wyższym szczeblu kierowniczo-ad-ministracyjnym kwitnie. Sytuacja zaś gospodarcza jest nadal bardzo ciężka i beznadziejna. Wszędzie braki, wszę-dzie bałagan, marnotrawstwo, kradzie-że i pełna dezorganizacja. Czym się to skończy, trudno przewidzieć.

(FEP)

Sukces dziennikarzy emigracyjnych

Dokończenie ze str. 1-ej

heimu oraz p. Kazimierz Knapp z Salz-burga.

Po raz pierwszy po wojnie wystąpili również na kongresie dziennikarzy z Kraju. Przybył więc specjalny delegat Prymasa Polski, księda kardynała Wyszyńskiego, wypuszczony niedawno z więzienia redaktor naczelny poznań-skiego „Przewodnika Katolickiego” — ks. prałat Roman Mielniski. Obok niego urzeczylił ks. dra Józefa Gawora, redagującego drugie pismo katolickie, ciesząc się pełnym zaufaniem i po-parciem Kościoła — katolicki „Gość Niedzielny”. Krakowski „Tygodnik Po-wszechny” delegował redaktora Turo-wicza oraz kierownika „Znaku” — po-śia Stommę. Ciesząc się obecnie spe-cjalnymi względami reżymu grupa „Za i przeciw”, prowadzona przez dr Fran-kowskiego, przysłała do Wiednia red-aktora Dolańskiego oraz cylego pre-zaesa Akcji Katolickiej — profesora Dembińskiego. Trzecią wreszcie parę w tej niejednolitej reprezentacji kra-jowej stanowili byli pax'ista Mazo-wiecki i fotografujący się na wszyst-kie strony Dominik Morawski.

Grupa dziennikarzy emigracyjnych znalazła z miejsca wspólny język z wy-stannikiem Księstwa Prymasa — ks. prałatem Mielniskim i z ks. drem Ga-worem. I dlatego dopisał jedno z tych nazwisk do listy kandydatów, mają-cych stworzyć nowy zarząd federacji dziennikarzy katolickich. Z innym, niestety, planem przyjechał do Wie-dnia „poseł” Stomma. W rezultacie nikt z Polaków z Kraju nie znalazł się we władzach.

Utrzymali za to swój stan posiada-nia grupy emigracyjne, których do-tychczasowy reprezentant, ks. red. Flo-rjan Kaszubowski, pozostał na dalsze trzy lata członkiem zarządu główne-go Światowej Federacji Dziennikarzy Katolickich.

Wybór ten wywołał nieprzyjemny protest p. Morawskiego z Polski. Incey-dent ten pokwitowała sala żądaniem... natchmiastowego wyprowadzenia „pol-itryka”!... Zachowanie się p. Mo-rawskiego, odosobnionego zresztą od reszty dziennikarzy z Kraju, komen-towano z największym niesmakiem do końca kongresu.

Wystąpienie to może w przyszłości odbić się bardzo smutnie na dalszych kontaktach dziennikarzy z Polski z ko-legami po piórze, zwłaszcza w Niem-czech i we Francji. A nie po to chya ba przyjechała do Wiednia 6-osobowa grupa z Kraju. (Piszemy celowo 6-cio, a nie 8-osobowa grupa, ponieważ księ-

ży prałata Mielniskiego oraz dra Ga-wora nie widzianno nigdy razem z 6-ką pozostałymi świeckimi dziennikarzami!)

Nowy mandat, powierzony we władzach Światowej Federacji Dziennika-ry Katolickich, jest nie tylko dużym sukcesem osobistym członka delegacji polskiej emigracji, ale świadczy także o pozycji, jaką sobie zdobyły pióra z naszego „wychodźstwa” na platformie międzynarodowej. Reżymowi wybór ten przypomni ponownie, że jest Em-gracja polityczna, która działa oraz z którą trzeba się liczyć na każdym kroku.

ADAM KOZŁOWSKI

OD REDAKCJI. Ze swej strony na-szemu koleźce i przyjacielowi ks. red. Florianowi Kaszubowskiemu składamy serdeczne życzenia z powodu odniesio-nego sukcesu.

Propagandowe kłamstwa

SPRAWA zawieszenia tygodnika „Po prostu” oraz związane z tym za-burzenia studenckie w Warszawie do-tąd jeszcze komentowane są przez nie które pisma reżymowe. Komentarze te, podobnie jak pierwsze komunika-tory i artykuły na temat zająś, prze-milczają główne ich przyczyny, przed-stawiając demonstracje studenckie, jako dzieło warszawskich „żywiółów chuligańskich”.

Najdalej posunęło się w tych pro-pagandowych kłamstwach „Życie War-szawy”. Dziennik ten w nr 237/57 r. stwierdza wprost: „Sądymy, iż nikt nie ma żadnej wątpliwości, że była to po prostu ordynarna, brutalna i wręcz bandycka rozrobka warszawskiej chu-liganerii... Jesteśmy przekonani, że o-gół naszej młodzieży, odpowiedzialnej i rozumnej, nie dopuści więcej do podobnych wybrków i odnie się od awanturników i warcholów”.

Cel tych propagandowych kłamstw prasy reżymowej jest jasny. W ten sposób komunisci chcą przetrucić całą odpowiedzialność za zaburzenia warszawskie na „bandy chuligańskie”, podobnie jak w ub. r. za krwawe zaj-ścia w Poznaniu obciążyli odpowiesz-alnością „żywiół reakcyjne” i „za-chodne agenty”, a za niedawny strajk robotników w Łodzi „elemen-ty warcholskie”. Jednocześnie, tak samo jak po zajęciach poznańskich, agi-tatorzy komunistyczni organizują w całym kraju „zebrania protestacyjne”, na których „uchwalane” rezolucje po-topiają wystąpienia studenckie w War-szawie.

„W wielu zakładach pracy — infor-mowało Radio Warszawa już 5-go października b.r. — m. in. w hutach Pokój, Batory, Bierut, Baildon, w ko-palni Niwka-Modrzewów oraz w hucie im. Lenina odbyły się specjalne ze-brania, na których apelowano do władz o danie bezwzględnego odporu wszelkim elementom warcholskim za-czynającym podnosić głowy... Apelowa-no do studentów o zachowanie umiaru i rozważ...”

W samej Warszawie — informuje reżymowe radio — odbyły się „w wielu zakładach przemysłowych zebrania, na których podjęto rezolucje, wyraża-jące głęboką oburzenie z powodu zająś przed domem studenckim na placu Narutowicza...”

W związku z zajęciami na ulicach Warszawy — głosi inny komunikat ra-dia — w dalszym ciągu napływają z szeregu zakładów pracy w stolicy i całego kraju oraz od organizacji społecznych i zawodowych rezolucje po-topiające z całą surowością inicjato-rów i uczestników tych zająś. Głębó-

kie oburzenie wyrażają listy i uchwa-ły nadsyłane przez organizacje młodzieżowe.

„Trybuna Ludu” w nr 275/57 r. groź-bie „żywiółom chuligańskim” za wywoływanie „awanturni na ulicach War-szawy, stwierdza m. in.: „W Polsce nie ma miejsca na reakcyjne wichrze nia i burdy. Kto podważa ład i porządek w naszym kraju musi zdawać sobie sprawę, iż poniesie surowe kon-sekwenecje tego postępowania”. Pismo to przetrzuca pełną odpowiedzialność za zaburzenia studenckie w Wars-zawie na „żywióły chuligańskie”.

Tymczasem wiadomo, że demonstra-cje te miały charakter ściśle polityczny oraz że obok studentów bezpartyj-nych brali w nich udział również ko-muniści, członkowie t. zw. Związku Młodzieży Socjalistycznej, aby zadem-onstrować przeciwko likwidacji ty-godnika „Po prostu” i przeciw ogra-niczeniom swobód, wywalczonych w rezultacie wypadków październiko-wych w ub. r. Reżymowa propagan-da stara się przemilczeć tę sprawę. Zdecydowane bowiem wystąpienia studenckie w Warszawie mają swoją bardzo głęboką wymowę polityczną i są dotkliwym ciosem dla reżymu.

(FEP)

W rocznicę powstania węgierskiego

WYDARZENIA, które miały miejsce w Węgrzech w październiku ubie-głego roku, przejął do historii. I to nie z jednego tylko powodu. Nie tylko jako dowód, że pragnienie wolno-ści tak głęboko leży w naturze człowie-ka, że gotów on jest walczyć o nią z taką ofiarnością i poświęceniem, na jakie się w innych okolicznościach nie zdobydzie. Naród węgierski — cały na ród! — dał tego swoją bohaterką postawą dowód niezbity. Wydarzenia te, i ich skutki, stanowią również do-wód, że komunizm boi się jak ognia wszystkiego, co ma jakkolwiek zwią-zek z wolnością, a zwłaszcza z wal-ką o wolność.

Oto oberkat Węgier z ramienia Kre-mia, Kadar, wydał zakaz noszenia ża-łobnych opasek w rocznicę budapesz-teskiego powstania i zarządził... wy-cofanie wszystkich czarnych krawa-tów ze sklepów galanteryjnych.

Byłoby to jedynie jaskrawym dowo-dem bezdennej głupoty, gdyby nie stanowiło przejawu oburzającego cyni-zmu i chęci zmuszania do milczenia najszlachetniejszych uczuć ludzkich.

Warszawa w liczbach

WARSZAWA liczy obecnie 1,061,837 mieszkańców, w tym kobiet 571,685. Podając powyższe dane, tygod-nik „Nowa Kultura” (nr 39-57 r.) przypominia, że w chwili wybuchu pierwszej wojny światowej Warszawa liczyła 884,000 mieszkańców, a we wrze-sniu 1939 r. — 1,295,000. Pod koniec 1945 r. w mieście było zameldowa-nych 375,000 osób.

Ludność Warszawy — jak informu-je dalej „Nowa Kultura” — ma kwartalnie 5 miliardów złotych docho-dów, 3 i pół miliarda stanowią w tym pensje. Z innych pozycji pismo wymienia: 323 miliony zł wypłacanych jest z tytułu rent i emerytur (korzysta z nich 65,000 osób) oraz stypen-diów, 274 miliony zł dochodu przypada na gospodarke drobnotowarową i wolne zawody, 140 milionów zł docho-dów to różnego rodzaju skupy, komi-sy itp., 51 milionów zł dochodów mają rolnicy z obszaru t. zw. Wielkiej Warszawy.

Stan zatrudnienia w Warszawie przedstawia się następująco: w prze-myśle pracuje 29 proc., w budownict-wie 18 proc. W Warszawie pracuje 32 tys. budowlanych, ale nie wszyscy oni mieszkają w stolicy, część dojeżdża do pracy z okolicznych wsi i miasteczek; w administracji, instytucjach wymiaru sprawiedliwości i instytucjach fi-nansowych zatrudnionych jest 14 proc. ludności, na urzędzenia socjalne przypa-da 13 proc., na obrót towarowy 12 proc., na transport 8 proc., na gospodarke komunalną 5 proc., a na inne zawody 1 procent.

W ciągu II kwartału b. r., w War-szawie zawarto 2,762 małżeństwa. „Naj-cieściej w urzędach stanu cywilnego — pisze „Nowa Kultura” — spotkać można nowożeńców w wieku 25 - 29 lat. Rozwodów udzielono w tym okre-sie 450, ale liczba ta nie odzwierciedla wiernie rozpadu rodzin”.

(FEP)

Dr MARYA KASTERKA

W rocznicę śmierci księcia Józefa

Sto lat minęło, a w sercach narodu
W tej samej zjawie trwasz polskiemu
oku;
Z oczyma w niebie — i w rycerskim
skoku
Do ostatniego w zaświaty pochodu!
Na koniu rwącym skroś dziejów
zamieci,
W burce rozwianej w skrzydła orlich
ptaków,
Do Boga duch twój leci! — sto lat
leci! —
A Bóg — nie zwraca honoru
Polaków!

Or-Ot (Artur Oppmann)

M AŁO jest chyba polskich bohaterów,
których imię pozostało tak
dzwienne żywe i młode w historii i to
nie tylko w Polsce, lecz i w innych
krajach, jak imię księcia Józefa
Poniatowskiego. Dowody czci pozgonnej
dla niego mamy w niezliczonych
poezjach w najróżnorodniejszych języ-
kach.

Naturalnie, po Polakach najczęściej
pisali Francuzi. Już w 1815 r. wy-
chodzi w Paryżu dramat mimizny
Franconiego i Villiers, pod tytułem:
„Poniatowski ou le passage d'Elster”,
wystawiony z ogromnym nakładem
11 grudnia 1819 r. na scenie cyrku
olimpijskiego, gdyż widowisko to,
wielce skomplikowane, wymagało
bardzo licznych aktorów i statystów
oraz żywych koni. Role główne przy-
padały polskim ułanom, a ponieważ
musiał być i wątek romantyczny, sta-
nowił go romans pięknego ułana
Zawadiaki, po francusku „Tapage”,
z równie urodziwą markietanką.

Akt pierwszy rozgrywał się przed
kuźnią obozową polskich ułanów;
akt drugi — w lesie na forpoczcie
polskiej; akt ostatni — pod Lipskiem.
Tu z jednej strony było widące miasto
Lipsk, z drugiej — brzegi rzeki
Elstery. Reżyseria tego ostatniego aktu,
najważniejszego dla całej sztuki, mia-
ła olbrzymie trudności do pokonania,
zwłaszcza jeśli zważyć środki, jakimi
rozporządzano wówczas. Przez scenę
bowiem przesuwano się masy wojsk
pieszych i konnych, walczące ze sobą.
Na pierwszym planie książę Józef z
polską garsnką walecznych cofał się,
broniąc się, ku rzecze, w oddali pło-
nęły przedmieścia lipskie, a w pew-
nej chwili wylatywał w powietrze
ze straszliwym hałasem most na Elsterze.
Poniatowski, ranny dwukrotnie,
rzucił się z koniem w nurty rzeki i
ginął.

Wreszcie obie armie rozwijają się
z obu stron Elstery, na której zjawia
się barka ze zwłokami księcia, okry-
tymi całunem. Wojska prezentują
broń, a ułan Tapage (Zawadiaka) od-
krywa ciało wodza i mówi:

„Szlachetny i dzielny Poniatowski!
Pamięć o tobie pozostanie zawsze
drogą Francuzom. Cześć ją będą wsze-
stkie narody dopóty, dopóki szanowa-
ne będą u ludzi imiona cnoty, męstwa
i ojczyzny!”

Mniej więcej w tym samym czasie,
bo w 1817 r. inny Francuz, muzyk
Lafond, wydaje w Warszawie poloneza
heroicznego, zadedykowanego Polkom:
„Le Troubadour français au tambour
de Poniatowski”, do którego słowa
napisał hr. de Lagarde, tłumacz „Zo-
fiówki” Trembeckiego na francuski:
En combattant pour la Patrie
Aux champs d'honneur il trouva
le trépas
Sa mort fut digne de sa vie,
Regrettons-le!... mais ne le pleurons
pas.

Kartę tytułową zdołała bardzo
romantyczna akwaforta Skerla.

Wśród innych poezji francuskich,
wymiećmy „Elégie harmonique sur
la mort héroïque de Poniatowski”
A. Léopolda, oraz elegię, pisaną
aleksandrykami, L. F. Gravin'a „Sur
la Mort du Prince Joseph Poniatowski”.
Biedny ex-officer napoleoński, który
użył francuskiego na jakiejś pensji
w Warszawie, nie był wielką poezją,
ale praw do podobnie widywał i
znał księcia, toteż w jego elegii
dźwięczą akcenty szczyreggo
żału. Kończy ją, chociaż
wyrażającym znaną myśl, wierszem:

Mourir pour son Pays, c'est vivre
après sa mort!

Lecz największym bodaj rozgłosem
cieszył się rzeczywicie żądny, choć
patetyczny, stosownie do mody
epoki romantycznej, słynny wiersz
arty-popularnego wówczas piosenkarza
paryskiego Béranger'a. Napisyany
w lipcu 1831, łączący na polską
rewolucję 1830-1831 r. z
bohaterką śmiercią Poniatowskiego.
Jeżeli wtedy nikt nie przyszedł
z pomocą ginącemu za Polkę,
ale i za Francję, księciu Józefowi,
to teraz Francja powinna spłacić
swoją winę wobec niego i wspo-
móc walecznych rozpaczyliwie
Polaków. Rzecz oczywista, że
sam jeszcze niebardzo pewny
na tronie król Ludwik-Filip
ani myślał posłuchać tego
wezwania, lecz wrażenie ogólne
we Francji było wielkie. Na
język polski przez tłumaczył
ten wiersz i przez to spopularyzował
go Kazimierz Brodziński:

„SYRENA”
w każdym polskim domu!

Jakto? wy uciekacie? wy,
zwycięzcy świata?
A więc pod Lipskiem spętną tyłu
dni pamiętki!
Na ostonę uciezki most w górę
wylata,
Elstra z szydnym pomrukiem niesie
jego szczątki,
I hełmy, i proporce, i konie, i trupy
Niesie, ledwie dźwigając porzucone
tupy,
Głucha na krzyki, prośby, wołania
obrony:
„Francuzi, rękę tylko, będę ocalony!”
Rękę tylko! nieszczęsny, kto o nią
was proszi.
Śpieszmy, śpieszmy, wy chcecie
doczekać kokozów.
Francuzi, to rycerza pęd rzeki unosi,
Po raz trzeci raniony — kona wódz
Polaków!

Dziś, mówi poeta, to lud tego wodza
woła do Francuzów:
Polska, to jak i lud jej, który świat
dziś stawi,
Ktorego w boju za nas wyginęły
krocie,

Ten lud z daleka dzisiaj
w własnej krwi się pławi,
Naszej broniąc wolności, wierzy
twojej cnotcie.

Jak ten wódz, w sprawie nasze
od nurtów schfontięty,
Jak trup jego rozdaty w rzecze
znaleziony,

Tak dziś woła lud cały, nad
przepaść popchnięty:
„Francuzi, rękę tylko, będę ocalony!”

Lecz i w Niemczech mamy całe
mnóstwo utworów o księciu Józefie.
I to nie tylko wśród współczesnych

Dr Marya Kasterka

HENRYK CZESŁAW SŁIWIŃSKI

WIDOKÓWKA Z RZYMU

Rzym, w październiku

S YRNE są rzymskie zachody
słońca; jest w nich coś z melancholii
minionego czasu, tragizmu rozbitej
kolumny, cisy winnicy, szkarłatnego
słowa poety, dumającego na Trinita
dei Monti lub na wzgórzu Villa
Balesta. Kiedy słońce tonie poza
Monte Mario, jak czerwony medalion,
na kopule Świętego Piotra rozpryskują
się ostatnie, złote refleksy, a potem
zastępuje ją sino-niebieska, delikatna
przędza, jak dym z papierosa.
Zapalają się pierwsze światła wiecznego
miasta, a na opalonym, pogodnym
niebie, ukazują się drzące gwiazdy,
zapemniając rzymski nieboskonk
cragocennymi sznurami mieniących
się szkodziejsko naszyjników. Niebo
i miasto wyglądają jak otwarta
szkatułka z klejnotami.

Słyszałem, co mówiono o Rzymie:
„Tutaj wszystko już przemienio.
Cokolwiekby się zdarzyło w tym
mieście, nie będzie miało żadnego
znaczenia. Głos jest tutaj tylko
echem, pamiątka — fantazją, a
kamień — historia”. Tak, to prawda.
I nie posiada Rzym swego folkloru.
Czyż mógłby sobie ktoś wyobrazić
trybuna rzymskiego, występującego
na parkiecie kabaretu Casina
delle Rose lub wchodzącego na
szklaneczkę „pack soda” do kawiarni
Antico Greco? Nikomu by coś
podobnego nawet przez myśl nie
przeszło. Byłoby to, jeśli już nie
profanacją, to co najmniej smutną
farsę. Krakowiaci na słonecznej,
podwawelskiej ulicy, „majos”
pod pióropuszem Cybeli w
Madrycie, „la vie de bohème”
na Montmartre, lub Szkoci w
plisowanych spódnicach na
Princess Street w Edynburgu —
wzbudzają entuzjastyczny
podziw i zachwyt. Aż same
ręce składają się do okłasków, a
serce wybija mocniej swój rytm.
Jakież byłoby przyjęcie klasycznego
rzymianina w todzie i z laurem
na ufrzywonej a la Juliusz Cezar
głowice w powodzi słońca pod
Koloseum? Jeśli nie śmiechem,
to chyba właśnie z niesmakiem.

Rzym jest miastem specjalnym.
Nie ma w nim miejsca na festywały,
corsi kwiatowe, biennale kinematografic-
zne, O.N.Z., miss Universo.
Nie można przecież z jazz'ową
kapelą wejść na cmentarz, jak
w Nowym Orleansie! Rzymski
cyprys jest kamertonem,
sosna — polotem, a kamień —
wspomnieniem. Wchodząc
w mury tego miasta ma się
wrażenie zanurzania w
mroczną głąb nawy katedra-
lnej, gdzie witraże przepuszczają
do wnętrza lśnienia tego tylko,
co przemienio, co przeszło
do legendy. Nie można tam
krzyczeć i rozprawiać
rękami; należy li-tylko
skłonić głowę, oprzeć ją
na dloniach i patrzeć.
A wówczas oczy nasze
napelniają się nowym
blaskiem życia, jak u
starca, który po długich
latach pielgrzymstwa
zatrzymał się wreszcie
na wzgórzu, skąd mógł
zobaczyć wieżyczki
i bramy rodzinnego
miasta.

Większość turystów,
przbywających do Rzymu,
z przewodnikiem w kieszeni,
nie może oprzeć się
rozczoarowaniu.
Ileż to razy słyzałem
gorzkie zdanie, jak
grymas pretensji:
„Ja sobie
zupełnie inaczej
wyobrażałem ten
Rzym”. Jest na to
chyba tylko jedno
wy tłumaczenie.
To wina symboliz-
mu, którym —
niestety — nasze
życie jest
przeziąknięte.
Wystarczy
przejść
ulicą jakiegokolwiek
miasta,
aby na
wystawach
krzykliwe
udekorowa-
nych
Biur Podróży
podziwiał
volens-nolens
bajecznie
kolorowe
perspekty.
Naszą
wyobraźnią
wsiadamy
na taką
wirującą,
barwną
karuzele,
która
unosi
nas,
jak
w
fotoplastyko-

mu poetów. Fala powraca
po 1831 r., tak jak i we
Francji. Bo trudno
dziś temu
uwierzyć
po hitlerowski-
m Niem-
cach,
lecz po 1831 r.
panował
w Niem-
czech
nastrój
ogólnej
sympatii
dla
sprawy
polskiej.

O księciu Józefie
piszą
poeci:
Karol
Herlossohn,
Ernest
Ortlepp —
w
wierszu
„Vision”
oraz
w
utworze
o-
sobnym,
zatytułowanym
„Poniatow-
ski”.
Dalej
poeta
August
Moser,
autor
słynnego
wiersza
o
pułku
„czwart-
ków”,
znanego
w
polskim
tłumacze-
niu
jako:
„Tysiąc
walecznych
opusz-
cza
Warsawę”,
poświęcił
również
pełne
zapału
strofy
pamięci
polskiego
bohatera.
Pisał
o
Poniatowskim
poeta
Ludwik
Bechstein.
Poetka
Similda
Gerhard
przetłumaczyła
na
język
niemiecki
wiersz
Beranger'a.

Nie
wyszczególniając
innych
poe-
matów
cudzoziemskich
na
cześć
księ-
cia
Józefa,
warto
wspomnieć
o
dwóch
„egzotycznych”
hołdach,
oddanych
jego
pamięci
rycerskiej
w
dwóch
od-
ległych
krajach,
z
których
jeden
jest
afrykańskim.

Na
Madagaskarze
wśród
portretów
wielkich
wojowników
świata
oboszo-
no
dość
długo
i
portret
Poniatow-
skiego.

A
w
dalekiej
Islandii
pamięć
jego
opiewał
poeta
Grimar
Thorgrimson
Thomsen
w
wierszu,
opisującym
klęs-
ką
lipską
i
bohaterstwo
księcia:
Wrogom
radości
nie
dał
on,
Nie
wkuli
go
w
kajdany,
Bo
Pan
chciał,
by
miał
lekki
zgon
Wygnańców
Wódz
wybrany.
(Tłum.
T.
Malepiński)

Dr Marya Kasterka

JÓZEF JASTRZĘBSKI

O prawdziwym księżycu

S TARAMIEM Związku Pisarzy
na Ob-
czynnie
w
dniu
10
bm.
miął
się
od-
być
(lecz
się
—
z
powodu
śmierci
Her-
minii
Naglerowej
—
nie
odbył)
wieczer
literacko-
artystyczny
Władysława
Królkiewicz-
za,
przybyłego
z
Polski.
Przewodniczącym
tego
wieczoru
miął
być
Józef
Zywina,
członek
Związku
Pisarzy.
Tenże
Józef
Zywina
nie
tak
dawno
miął
własny
wieczer
auto-
rski.

Co
zacz
jest
Zywina?
Nowe
nazwis-
ko?
Niekoniecznie.

Zywina
należy
do
tzw.
średniego
po-
kolenia,
do
którego
zresztą
wszedł
b.
niedawno.
Ale
pisać
zaczął
znacznie
wcześniej,
bo
blisko
15
lat
temu.
Co
pisał?
Wiersze,
ma
się
rozumić.

Szalała
wojna,
w
której
brał
on
jak
najbardziej
bezpośredni
udział
(w
ca-
łej
polskiej
„kampanii
włoskiej”),
wlo-
kły
się
z
nim
widma
przeżytych
z
„nie-
ludzkiej
ziemi”,
czasu
na
pisanie
miął
mało,
a
myśli
i
refleksje
szły
niepow-
strzymane
—
bez
przerwy.
Mysłem
to-
warzyszyły
uczucia...

W
czymże
się
też
mógł
wyżyć
młod-
zieniec,
jeśli
nie
w
wierszu?
Wszak
w
formie
wiersza
w
kilku
słowach
moż-
na
powiedzieć
tak
wiele,
wiele...
Naturalnie,
jeśli
nie
ma
talent.
A
Zywi-
na
—
na
szczęście
dla
siebie
i
dla
po-
zji
—
miął
talent,
prawdziwy
talent!

I
oto
na
przykład
pisze:
„Płakała
matka,
smutniata
jesień,
aż
do
ostatka
sopchmurniał
wrzesień.

„W
cichym
listowiu
drzew
brunatnia
ła,
ciemniata
w
nowiu,
aż
spopielata.
„Chlusnęła
potem
w
piaszczystej
bieli
(nie
wystarczyła
już
polska
zie-
leń).

NOWINKI LONDYSKIE

„A
w
domu
żyli,
w
domu
czekali
(wiatr
grał
w
badyłach
zapamięta-
le).
„Nie
wrócił
przecie,
nie
przyjdzie
ju-
tro.

„Tłukł
się
po
świecie
i
w
drodze
utknął”.
(Motyw
wojenny”).

Więc
z
tego
świata,
w
którym
„ut-
knął”,
pisze
poeta
do
matki:
„Nie
płac.
To
przecież
jasne,
że
jesz-
cze
wróce
do
Ciebie.
Pomyśl
—
i
gwiazdy
gasną,
a
jest
ich
tyle
na
nie-
bie.

„Nie
płac,
bo
przecież
wonna
naj-
częściej
krwią
się
rumieni.
Pomyśl,
że
dni
spokojne
wyniesie
syn
Twój
z
pło-
mieni”.

I
wyniosł.
A
nawet
sprowadził
do
siebie,
do
Londynu,
matkę,
starszszk,
uroczą
wieśniaczkę,
której
na
swoim
wieczorze
autorskim
wreczył
bukiet
kwiatów,
jakby
mówiąc,
że
wszystko,
co
tak
poehlebnie
o
jego
talencie
powie-
dziali
koledzy
-
pisarze,
ofiaruje
jej,
swej
rodzicielce,
wraz
z
tym
bu-
kietem
kwiatów.

Nakładem
Oddziału
Kultury
i
Prasy
II
korpusu
ukazał
się
w
roku
1945
w
Rzymie
spory
tomik
wierszy
Zywiny
pt.
„Rozmowa
z
księżycem”.
(Z
tych
właśnie
poezji
są
te
dwa
wiersze,
które
już
zacytowałem).
Rozmowę
swą
z
księżycem
zaczyna
Zywina
kapitałnie.
Powiada:
„Ech,
włóczykiju,
darmo
chcesz
z
ziemią
się
swatać
—
w
butelkę
cię
kiedys
nabiją
dyplomaci
z
mo-
jego
świata”.
Czy
nie
proroza
prze-
powiednia?
„Włóczykiju”
ma
już
konku-
renta,
i
to
nie
byle
jakiemu!
Czerwo-
nego
—
sowieckiego.
Dyplomaci
nabili
w
butelkę
nie
tylko
innych,
lecz
i
sie-
bie.

I
mówi
dalej
Zywina
do
księżycza:
„I
po
co
kradzionym
masz
światłem
szukać
igły
w
mrowisku?
Uciekaj,
stary,
bo
natiok,
bo
głupie
tu
kotłowisko.

„Zresztą,
możesz
się
włóczyć.
Ty
się
w
wędrowce
nie
ztelisz
i
może
mnie
kiedys
nauczysz,
jak
trzeba
tuoc
się
po
piekło.

„Pójdziemy
kiedys
we
dwójkę,
mistrz
szeczeniakiem
z
ziemi,
i
nagle
zaczniemy
bójkę
z
planetami
innymi”.
Jak
już
powiedziałem,
Zywina
jest
jeszcze
w
tym
wieku,
że
ani
chybi
—
doczekać
się
może
„bójki”
między-
planetarnej...
Oby
mu,
a
z
nim
i
nam
wszystkim
pospocześnie
w
tej
„bójce”.

Ale
nie
zawsze
widok
księżycza
wzu-
dza
w
Zywinie
refleksje
z
„głupiego
kotłowiska”.
„Miła
moja”
—
mówi
do
dziewczęcia
—
„spójrz
w
obłoki.
Widzisz
te
aleje
w
gwiazdach?
Księżyc
bierze
się
pod
boki
i
flirtuje
co
noc
z
kadzą.

„Wszystkie
bladzą
tak
od
wieków,
księżyc
z
nimi
chłód
mitręży.
Taki
sam
jest
los
człowieka,
bo
ty
gwiazdka,
a
ja
księżyc.

„Dom
nasz
w
cieniu
konstelacji
Serca
i
Nadziei.
Noc
roznosi
woł
akacji.
Miła,
choź,
do
dnieje”.

I
jeszcze
jeden
przykład
„Rozmowy
z
księżycem”.

„Z
szalestem
skrzydeł
gołębich
noc
mnie
musnęła
po
twarzy
—
w
dalekim
czasie,
na
głębokach
Bóg
porozpalał
lichtarzy.

„Z
szalestem
skrzydeł
wieczornych
myśli
spadają
jak
gwiazdy,
wyrwami
dumy
opornej
biegają
nadzieje
w
roz-
jazdy.

„Mlecznymi
chodzą
drogami
smutki
bezszyrdliwych
aniotów,
w
podmuchach
świecą
przed
nami
spykoch
wrzesni-
wych
popiotów”.

Tak
myślał
i
pisał
poeta
przed
prze-
szło
dziesięć
laty.
Nie
spoczął
on
na
pierwszych
laurach,
więc
mógł
zapre-
zentować
się
na
swoim
wieczorze
z
in-
nymi
utworami.
Czytał
je,
i
to
pięk-
nie,
artyści
dramatyczni
oraz
Zywina.

I
te
wiersze
są
ładne:
„(...)
I
ziemi
śpiewam
wleńca
pieśń,
pieśń
umarłego
o
Podolu
(poeta
pochodzi
z
Podola,
z
Małopolski
wschodniej);
chabrom,
krwawnikom
i
kąkolom
—
ustami
w
piasku,
krwi
i
pieśni
(...)”

Oprócz
wierszy
zwykłych,
czytano
też
I
akt
sztuki
wierszem
pt.
„Tama”.
Z
fragmentu
trudno
coś
powiedzieć
o
całości.
Ale
odnosiło
się
wrażenie,
że
sztuka
ta
—
po
zakonczeniu
—
stanie
się
rewelacją.

Henryk Czesław SŁIWIŃSKI

Józef Jastrzębski

Perspektywy planetarne

Dokończenie ze str. 1-jej
mentach;
wśród
tych
dzieci
byli
za-
pewne
także
przyszli
twórcy
„spu-
tnika”
i
uczni,
pracujący
tak
wytwale
w
ramach
wspólnej
akcji
roku
geo-
fizycznego.

Verne'a
„Podróż
dokoła
księżycza”,
podobnie
jak
znakomita
powieść
psycho-
logiczna
Polaka
Jerzego
Żuławskie-
go,
„Trylogia
księżycowa”:
„Na
srebr-
nym
globie”,
„Zwycięzca”;
„Stara
zie
mia”
—
to
niemate
czynniki
zapła-
niające
umysł
milionów
czytelników
czy
badaczy.

Wydaje
się
wciąż
od
chwili,
gdy
nad
głowami
naszymi,
nad
domami,
mia-
stami
i
kontynentami
krąży
uparcie
sowiecki
„sztuczny
księżyc”,
iż
teore-
tycznie
nie
daleka
jest
chwila,
gdy
pierwsza
rakietka
z
ludźmi
lub
bez
ludzi
wyleci
w
przestrzeń
między-
planetarną,
aby
dotrzeć
do
powierzni
księżycza.
Amerykańscy
uczni
i
inży-
nierowie
przygotowują
już
podobno
plany
olbrzymiej
rakiety,
a
niektórzy
proponują
wysłanie
bomb
wodorow-
ej
(!)
na
księżyc
w
postaci
pocisku
kierowanego”,
aby
olbrzymi
wybuch
na
tarczy
księżycza
(można
by
go
ob-
serwować
z
ziemi,
gołym
okiem)
po-
zwoili
na
lepsze
zbadanie
obecności
lub
nieobecności
niektórych
pierwias-

ków
na
powierzni
stałego
towarzysza
Ziemi.
Przeważa
opinia,
iż
różnica
między
liczbą
tysiąca
kilometrów,
ja-
ką
mogą
osiągnąć
„sztuczne
księżycze”,
a
liczbą
blisko
czterystu
tysięcy
kilo-
metrów,
dzielących
nas
od
prawdzi-
wego
księżycza
—
nie
jest
różnicą
za-
sadniczą,
lecz
tylko
ilościową.
Ludzo-
ści
musi
nauczyć
się
życia
z
tą
świa-
domością,
że
wydosłanie
się
człowieka
poza
najbliższe
okolice
Ziemi
jest
nie
tylko
możliwe,
lecz
także
prawdop-
odobne.

Oczywiście,
nie
stanie
się
to
dziś,
ani
jutro,
ani
za
rok.
Psychologowie
i
lekarze
uważają
zresztą,
że
naj-
poważniejszą
przeszkodą
w
realizacji
podróży
międzyplanetarnych
nie
są
nawet
względnie
techniczne
(„wiek
ma
szyny”
umiał
już
rozwiązać
tyle
trud-
nych
problemów),
lecz
raczej
fizjolo-
giczne,
trudności
wynikające
z
zmie-
nionych
całkowicie
warunków
życia.
Wiadomo
przecież,
że
nawet
na
ziemi
granice
wyttrzymałości
natury
ludz-
kiej
na
zmiany
temperatury,
ciśnie-
nia,
wilgoty
itd.
są
stosunkowo
nie-
wielkie;
człowiek
będzie
musiał
być
w
olbrzymich
i
tajemniczych
prze-
strzeniach
międzyplanetarnych
stałe
chroniony
przez
pomoc
specjalnych
strojów,
kabin,
prządów,
pigulek

—
jak
małe
dziecko.
Czy
taka
ochro-
na
na
dłuższą
metę
będzie
w
ogóle
możliwa?

Ale
może
największą
troskę
dla
każdego
myślącego
człowieka
stanowi
obraz
stosunków
na
Ziemi
w
momencie,
gdy
po
raz
pierwszy
zjawia
się
realna
możliwość
wystąpienia
w
prze-
strzeni
ziemskich
przedstawicieli.
Nie
jest
przecież
rzeczą
obojętną
dla
nikogo,
że
po
blisko
dwu
tysiącach
lat
działania
chrześcijaństwa
na
du-
sze
ludzie
człowiek
moralnie
więcej
zagrożony
jest
powrotem
do
barbar-
zństwa
(jak
to
wykazały
doświadcze-
nia
pierwszego
połowy
XX
stulecia)
—
że
prawie
połowa
świata
władza
system
komunistyczny,
oparty
na
nie-
nawici,
a
nie
ustroju,
oparte
na
mi-
łości
i
wolności,
że
chaos
intelektual-
ny
na
całej
kuli
ziemskiej
nie
wroży
w
bliskiej
przyszłości
nikomu
ani
szczęścia
ani
panowania
prawa
i
spraw-
iedliwości
Konieczność
wielu
reform
społecznych
i
moralnych,
zanim
podróż-
że
międzyplanetarne
staną
się
fak-
tem
—
jest
oczywista.

Perspektywy
planetarne
u
końca
ro-
zumowania
wiodą
nas
znowu
do
pra-
cy
nad
poprawą
stosunków
na
Zie-
mi.

Witold NOWOSAD

